WESOŁY KURJEREK

DLA WSZYSTKICH,

Illustrowany.

Wychodzi dwa razy na miesiąc: 8. i 23.

Wszyscy prenumeratorowie **Gońca i Iskry**, czasopisma obszernego perjodycznego, wychodzącego we Lwowie, otrzymują **Wesołego Kurjerka** zupełnie bezpłatnie. Również otrzymują *bezpłatnie* **premie i dodatki**. Prenumerata **Gońca i Iskry** wynosi kwart. 2 złr. półrocz. 4 zł; rocznie 8 złr wraz z **Wesołym Kurjerkiem**.

Adres Redakcji i Administracji: *we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.* Pojedyńczy Nr. „Wesołego Kurjerka" **10** ct.

Właśnie, dlatego...



— Czegóż żeś się pan tak przeląkł? Czy ja taka straszna?...

— Nie... właśnie dlatego, że pani nie straszna...

Tułacz.

Nad górami księżyc świeci,
Po dolinach mgła,
Za te góry myśl ma leci,
Za nią płynie łza.
Jak ten krzyż tam pochylony,
Jak ten ciemny bór,
Tam rodzinne moje strony —
Za tem pasmem gór.
Minie smutek, minie wiosna,
Ale kwiaty jej
Nie tak poschną, nie tak rosną,
Jak na ziemi mej.
Nie tak księżyc, słońce świeci,
Inna wody mgła —
Więc za góry myśl ma leci,
Kędy ziemia ma!...

Może i prawda.

O pewnym młodzieńcu, pnącym się gwałtownie do arystokracji i plutokracji, opowiadają zabawną, i, kto wie, czy nie prawdziwą anegdotkę.

Młodzieniec przyszedłszy do modnej cukierni na czarną kawę, pyta się chłopca:

— Czy hrabia N. nie dowiadywał się tu o mnie?

— Nie proszę pana.

— A baron Q. nie przychodził się pytać, o której godzinie jestem zwykle na kawie?

— Nie, proszę pana, ale kolega pański, Ygrek, chciał sie widzieć z panem.

— Ygrek? co to za Ygrek? nie znam żadnego Ygreka.

— Ten, co mu pan winien pięć reńskich...

Bismarkiada.

Na Bismarków ciężki los,
Nawet w Chinach zła to ranga:
Mandaryni mają nos
I precz pędzą Li Hung Czanga.

nix.

Małe nieporozumienie.

— Jak ten siedemdziesięciopięcioletni X, doskonale wygląda!

— Bagatela! on sto lat żyć będzie, tak go przy zdrowiu i życiu utrzymuje wielka i namiętna miłość...

— Co też ty mówisz! Czy to być może, ażeby wielka i namiętna miłość siedemdziesięciopięcioletniego starca utrzymywała przy życiu i zdrowiu?

— Ależ, mój drogi, nie dałeś mi skończyć, więc jeszcze raz powtarzam: wielka i namiętna miłość... samego siebie.

Pieczeniarz i pszczoła.

Bajka.

Spostrzegł pieczeniarz pszczołę na szybie,
Więc, uzbrojony chustką, na zbłąkaną dybie
I już, już się zmierza,
Jak do zwierza,
By ugodzić należycie!
A pszczoła na to:
— Daruj życie!
Wszak konkurencji ja tobie
Nie robię?

Aforyzmy ogórkowe.

Szanujący się syn XIX go wieku za oko wybija dwoje oczu, za ząb — dwa zęby.

Nie pomogą okulary, kto nie umiał dopilnować swego parą gołych oczu.

Niezawodny środek na pozyskanie zaufania: bądź stary z młodymi, młody ze starymi.

Każdy kij ma dwa końce: cała mądrość polega na poznaniu, którego końca trzeba unikać.

Mądrości życiowej nie ucz się od mędrca, ale od jego żony.

Z pamiętników frotera.

Powieść obyczajowa w I. tomie.

Tyle strachu, ile miałem wczoraj, nie zaznam już chyba nigdy! Wezwano mnie, abym poszedł froterować podłogę u państwa X-ów. Państwo, jak każde państwo; on zadłużony po uszy, ona lubi się bawić. Podobno dzisiaj, a opowiadała mi to ich służąca, była pomiędzy nimi straszna scena; pan powiedział, że nie pozwoli, pani zaś dowodziła mu, że umrze w takim razie. Ale co mnie to obchodzi, ja jestem froter, więc mnie, przedewszystkiem, interesują podłogi, no i zapłata za moją pracę.

Kiedy tak sobie myślę, drzwi się szybko otwarły, a przez nie wpadła pani, trzymając ogromny nóż w rękach. Leciała wprost do gabinetu męża.

Zadrżałem, czułem, że się coś niedobrego stanie...

Jak na złość słońce schowało się — niebo pokryły ołowiane chmury...

Pani już wpadła do gabinetu.

Usłyszałem jęk ciężki, czy może westchnienie, nie wiem, bo mi zęby tak dzwoniły, żem sam nie wiedział, co się ze mną dzieje.

Żeby nie zapach świeżej farby z podłogi, czułbym krew w powietrzu.

Z gabinetu dochodził mnie szept przytłumiony, cichy... zduszony jakby...

Zdawało mi się, że ktoś kogoś za gardło dusi.

Zamieniłem się w ucho... słuchałem...

— Jakto niegodziwcze! szeptała pani — więc nie chcesz.

— Przysięgam ci na Boga, że to niepodobieństwo... nie sposób.

— Ale ja tak chcę, czy słyszysz?

— Nie, nie mogę.

— Ach... więc tak..

— Zmiłuj się kobieto, zlituj się nademną, nie gub mnie!

— Nie, nigdy, przenigdy, okrutniku.. niech się więc spełni ofiara.

Zadrżałem.

— Niech się więc spełni — powtórzyła pani.

Zdawało mi się, żem słyszał zgrzyt żelaza, przesuwającego się między żebrami...

Tchu mi zabrakło...

Jakieś ciało, jak bezwładne upadło na fotel.

Chciałem otworzyć okno i wołać policjantów i stróża. Ale namyśliłem się i nieznacznie otworzyłem drzwi gabinetu.

Nóż leżał na krześle — pani zadąsana siedziała przy oknie, pan oparty w fotelu, mówił z cicha.

— Więc, kiedy inaczej być nie może, to niechże będzie ten bal nieszczęśliwy — ale *à propos*, pocoś tu taki nóż ogromny przyniosła?

— Miałam kazać służącej, żeby go dała do naostrzenia.

Odetchnąłem.

Ach! jaki bal był u tych państwa, to niech się kasyno w kąt schowa.

Później nie wzywali mnie do froterowania, bo komornik zabrał meble, a oni się na trzecie piętro przenieśli.

Kaśka im czasem podłogę szoruje.

Biedni ludzie!...

sioj!...



— Co będzie na giełdzie, jak się wszystko porozbraja?

— Jak oni się zaczną rozbierać z tego uzbrojenia, to jeden będzie chciał zostać w surducie, drugi w kamizelce, trzeci w pantalonach, a czwarty w płaszczu. Zaczną wymawiać sobie, potem kłócić się — i sioj!..

Ważny powód.

— Czego złościsz się indorze,
Choć powodu nie masz wcale? —
Pytał wróbel Indor na to:
— A od czegóż mam korale?

Z rozmów codziennych.

Mąż-erudyta przy kawie.
— Wspaniały napój! proszę jeszcze o filiżankę.
Po chwili:
— Wyczytałem, właśnie, w kalendarzu, że w roku bieżącym upływa 236 lat od chwili sprowadzenia kawy z Arabji do Europy.
Żona zamyślona.
— No, proszę, jak to jednak czas leci!...

Potęga logiki.

Ponieważ niemcy nie boją się nikogo, więc robotnikom polskim pobyt w posiadłościach pruskich jest zabroniony, ale ***za to,*** *wszystkim gęsiom polskim, wstęp do Prus jest dozwolony.*

Dziś.

— Więc pani sądzisz, że stojąc wysoko,
Ludzkie już ciebie nie dosięga oko?
— Och, nie, czem wyżej kobieta dziś stanie,
Tem więcej patrzą na jej zachowanie.

Bajeczka sezonowa.

Narzekał Adaś, kwiat złotej młodzieży,
Że dziś ze Lwowa *wszyscy* się wymknęli.
Fred mu więc z miną, która w nic nie wierzy,
— Jakto! już nie masz wcale wierzycieli?

Z rozmów politycznych.

— Co tam słychać z polityki?
— Znów nowy minister we Francji.
Na długo?
— Hm... pewnie nie na długo. Takie to już francuskie zwyczaje i obyczaje.
— Powiedz mi, bo przecież znasz się na polityce, dlaczego te ministerja francuskie tak ciągle padają?
— Bo nie mogą utrzymać się na nogach.
— A dlaczegoż nie mogą utrzymać się na nogach.
— Bo ciągle padają...

Sen.

Piliśmy już trzecią butelkę starego węgrzyna i rozmawialiśmy o duchach, przeczuciach, snach i tem podobnych rzeczach. Towarzystwo bardzo było ożywione.

Opowiem wam, co mi się stało przed kilku laty — odezwał się mój przyjaciel, Ludwik — słuchajcie.

— Słuchamy! — odpowiedzieliśmy chórem.

— Byłem wówczas młodym zupełnie lekarzem. Pewnego dnia jadłem ze znajomymi kolację w hotelu i wszyscy byliśmy w jak najlepszych humorach. Nagle stałem się dziwnie smutnym i, nie wiedząc dla czego, zbladłem jak śmierć. Towarzysze moi zauważyli to.

— Cóż to, czyś chory? — pytali troskliwie.

Nie umiejąc sobie wytłomaczyć, co się ze mną dzieje, wziąłem kapelusz i wyszedłem. Zaledwie wróciłem do domu, przyniesiono mi telegram, na widok którego zadrżałem, jak gdyby w przeczuciu jakiegoś nieszczęścia. Telegram był od brata i zawierał następujące słowa:

— Przyjeżdżaj natychmiast: Alina umarła.

Brat mój był, jak panowie wiecie, nie młodym, bardzo prozaicznym i oszczędnym człowiekiem. Mając lat czterdzieści; ożenił się z czternastoletnią dziewczyną ładną, dobrą, miłą i, jak inaczej być nie mogło — małżeństwo to nie było szczęśliwem. Śmierć biednej Aliny przeraziła mnie okropnie.

Pojechałem tej nocy jeszcze do A. W domu brata nikt nie spał. W salonie ustawiono katafalk, a na nim leżała zmarła, blada, cicha i spokojna, taka, jaką była za życia.

Brat nie wydawał się zanadto zmartwionym. Obliczał koszta pogrzebu i unosił się gniewem nad wysokimi rachunkami, jakie mu stawiał stolarz, kościelny, grabarz itp.

Nazajutrz ułożyliśmy listę osób, którym trzeba było posłać uwiadomienia. Kupiłem arkusze i koperty i napisałem sam około 300 adresów, potem nalepiłem marki, które mój brat kupił i wyszedłem na ulicę. Jedną część listów włożyłem w skrzynkę koło teatru, drugą na poczcie, trzecią zaś w skrzynkę na rogu naszej ulicy. Dlaczego wspominam te drobne szczegóły — zaraz się panowie dowiecie.

Około dziesiątej wieczorem udałem się na spoczynek. Mój pokój graniczył z salonem, w którym leżało ciało zmarłej.

Nie jestem, ani zabobonnym, ani bojaźliwym, a jednak, przyznaję szczerze, nie byłem tej nocy spokojnym. Zdawało mi się, że coś tajemniczego unosi się wokoło mnie, drżałem, lękałem się czegoś — i pragnąłem, aby noc ta, jak najprędzej, minęła.

Stolik, na którym pisałem poprzednio adresy, stał koło mego łóżka i nie znajdowało się na nim nic więcej, jak świecznik, kałamarz, karafka z wodą i jedna zmięta koperta, na której adres mylnie napisałem.

Wsunąłem głowę pod kołdrę, byłem bowiem przekonanym, że, gdybym otworzył oczy, ujrzałbym coś okropnego!

Pomimo zmęczenia usnąłem bardzo późno i miałem przerażający sen... Wszystko to stoi mi tak żywo w pamięci, jak gdyby się stało wczoraj dopiero.

Śniło mi się więc, że Alina weszła do mego pokoju i że patrzała na mnie swemi martwemi oczami.

— Jak was też wszystkich wywiodłam w pole — rzekła — udawałam, że umarłam i wy uwierzyliście mi.

Śmiała się przytem wesoło, a ja cieszyłem się, że widzę ją żywą. Na lewej skroni ujrzałem małą, czerwoną plamkę.

— Czy mąż twój wie o tem, że żyjesz? — zapytałem

— Nie, on śpi. Gniewałam się — dodała poważnie — że rozesłaliście tyle uwiadomień. Przynoszę ci napowrót twoje listy.

Mówiąc to, położyła na stoliku cały stos listów i wyszła.

W tej chwili otworzyłem oczy — w pokoju było już jasno.

Czy sen mój trwał chwilę, czy przez cały czas spania, tego nie wiem! Pogrzeb miał się odbyć o dwunastej. Wstałem i... zdawało mi się, że piorun z jasnego nieba spada na mnie! Owe listy, które wczoraj wrzuciłem sam do skrzynki, leżały teraz na stole! W pierwszym momencie myślałem, że straciłem zmysły — przetarłem oczy i usiłowałem przypomnieć sobie szczegóły mego snu.

Może to były inne listy? Zbliżyłem się do stołu, wziąłem je — przeczytałem kilka adresów... nie! były te same, które sam pisałem i zaniosłem na pocztę. Przecież nie byłem pijanym. Cóż to miało znaczyć?

Przerażony, otworzyłem drzwi do salonu. Katafalk stał tak, jak wczoraj, świece paliły się...

Zadzwoniłem na służącego.

— Był kto w nocy w moim pokoju? — zapytałem, drżąc, jak we febrze.

— Nie! ja przynajmniej nikogo nie widziałem!

Byłbym rzeczywiście oszalał, gdyby w tej chwili kucharz nie był się ukazał.

— Listonosz odniósł wszystkie listy — rzekł spokojnie — bo trzeba przylepić na nie więcej marek.

Zagadka wyjaśniła się, ale, gdy później poszedłem do salonu i spojrzałem uważnie na twarz zmarłej, zauważyłem na lewej skroni małą czerwoną plamkę.

Wspomnienie to przejmuje mnie do dziś dnia nieprzyjemnym dreszczem, chociaż doprawdy nie wierzę w żadne zabobony. Ale dziwnie się plecie, na tym Bożym świecie... *Praca.*

Listy znakomitych ludzi.

I

Do Pana Jankla Gryps, kupca
w Kulikowie.

Kochany Janklu!

Potrzebuję na gwałt pieniędzy!

Józef Nienapchajski.

II

Wielmożny Panie Wypychajsky!

Donieszam, co pieniądzów buło, ale teraz nima.

Z wielgie życzliwościom.

Jankyl Gryps.

Iskierki.

Przy czarnej kawie.

— Przyznam się, panie Ludwiku, iż jestem bardzo ciekawy tych »Pamiętników Bismarcka«.

— Czy jeszcze panu Karolowi nie dosyć tego, co niemcy na nas dziś wymyślają?

Podobno niemcy w Prusach ogłosili wielki konkurs na zniemczenie nazwiska... Szczepanik.

Oryginalne ogłoszenie.

Dentysta X. poszukuje od kwartału odpowiedniego mieszkania, urządzonego w ten sposób, ażeby ci, którzy od niego już wychodzą, nie spotykali się w drodze z tymi, którzy do niego wchodzą.

Co było, a nie jest nie pisze się w rejestr.
W starych księgach często się spotyka:
»Jak on pięknie dosiada konika«.
Czemuż dziś więc każdy za żart bierze:
»Jak on pięknie siedzi na rowerze?«

Na giełdzie.

— Patrz pan! ten X. zbankrutował i przepadło mi u niego przeszło 1000 zł.

— Szkoda go, bo to człowiek, który zbankrutował uczciwie.

— A cóż to dla mnie za pociecha!?

Przestał.

— Wiecie, kumciu, kiej piję — to ni — jak robić nie mogę. Juści chyba rzucę...

— Pijaństwo?

— Kaj tam! Robotę!...

Fin de siécle'owy czytelnik.

— Zwracam ci pożyczoną książkę

— Cóż, czy nieprawda, że bardzo ciekawa?

— Przyznam ci się, że jej wcale nie czytałem

— Dlaczego!?

— Tytuł nie zachęcił mnie.

De gustibus non est disputandum.

-- Powiedz mi, proszę cię — zapytał myśliwy rybaka — jąką ty znajdujesz przyjemność w łowieniu po całych dniach ryb na wędkę?

— Mój drogi, co kto lubi: ja zabijam czas po cichu, a ty go zabijasz głośno.

Po pijatyce — w knajpie.

Gospodarz (oglądając rzeczy na wieszadłach, do służącego). Patrz, tu się zostało jeszcze jedno palto i kapelusz. Zobacz no, czy się do tego nie znajdzie gościa — pod stołem...

Logiczne rozumowanie.

— Cóż ty, Izydor, jeździsz z jedną ostrogą.

— Głupiś! Jak jedna połowa konia pojedzie i ta druga także musi...

Nieporozumienie.

Lolo zaszedł do krawca obstalować sobie garnitur. Obrano materjał, umówiono się o cenę, wreszcie Lolo chce zrobić maleńkie zastrzeżenie.

— Co się tyczy zapłaty... — zaczyna.

— O, panie hrabio — przerywa uprzejmy krawiec — jak się panu hrabiemu podoba.

Lolo zachwycony wraca do domu.

Po tygodniu krawiec odnosi garnitur gotowy. Następuje przymierzanie, przyczem krawiec kilkakrotnie pyta:

— Cóż, podoba się panu hrabiemu?

— O, najzupełniej! — odpowiada Lolo, licząc na kredyt.

Tu jednak następuje rozczarownie. Krawiec stanowczo żąda zapłaty zaraz, grożąc zabraniem garnituru.

— Ależ — protestuje Lolo — przecież powiedziałeś pan sam, że mogę zapłacić, gdy mi się podoba.

— Istotnie tak powiedziałem, ale pan hrabia sam przecież kilkakrotnie przyświadczył, że mu się garnitur podoba...

Refleksja szatańska



Szatan podnosi ziemskiego anioła,
Bo anioł niema żadnych skrzydeł zgoła —
Gdyby mu jednak, skrzydełka przypięto,
Djabłu na głowie zastukałby... piętą...

Dobre i to?

W Poznaniu, jak o tem szeroko i długo rozpisują się gazety niemieckie, do związku hakatystycznego przystąpiły damy niemieckie:

Gdy więc życie wśród tej rzeszy
Nie jest wcale wiankiem z róż,
Niech nas chociaż to pocieszy,
Że hakatyzm zbabiał już!

Nieostrożny.

Wierzyciel przychodzi do swego dłużnika.

— Czy pan w domu?

— Nie, wyszedł przed chwilą.

— Jakże to? Wszakże go dopiero co widziałem przez okno.

— Ba, ale i on też widział pana...

Do Róży.

Prześliczną jesteś w letnim sezonie,
Gdy na twych listkach rumieniec płonie,
A zapach z pączka, co sie odchyla,
Upaja łatwo motyla.

Ale w jesieni, kiedyś już zwiędła,
Kiedyś się w babie lato oprzędła,
To już motylów nie zwabiaj, Różo!
Bo to za dużo! za dużo!

Uśmiechnij się!...

Uśmiechnij się!...
Ja z twoich ust bym czerpać chciał
Obrazy wiosny, życia kwiat...
Za tobą nuda, tęskno, żal,
W tobie... nadziei moich świat.

Uśmiechnij się!
Perełek cudnych, jasnych twych,
Błyśnie tu do mnie srebny rząd —
Zadźwięczy wnet czarowny głos
I wesołości wionie prąd!...

Uśmiechnij się!
Ze śmiechem twoim rajskim tchem
Idzie wiośniany do mnie sen.
Zawody moje, smutki, łzy
Lecą gdzieś w świat i nikną hen!.
Uśmiechnij się!...

Emil Hołod.

Qui pro quo.

— *Jak pani uważa obecną szkołę realistyczną.*

— *Nie wiem, doprawdy, jak mam się wyrazić, bo co prawda, znam tylko szkołę żeńską pani Klapikiewiczowej.*

POCIECHA.

Skarżył się pewien łysy, że mu włosy wy- [szły,
I że to mu nie zjedna względów w oczach [przyszłej.
Rzekł żonaty: — Naiwność twoją bardzo lubię,
Wolisz więc nieboraku ołysieć po slubie?

Teatr.

Pan Zygmunt Przybylski, do którego *nolens volens* przyczepiono pseudonim Zyzia, uraczył scenę lwowską 3. aktową »komedją«: *Państwo młodzi*, którzy już w Warszawie odbyli dość kwaśne miodowe miesiące, pod cieniami jednego z teatralnych ogródków. Ci *Państwo młodzi*, to bardzo stare państwo właściwie, a to, co się za niemi włóczy, od autorskich urodzin Zyzia włóczy się po scenie. Już to szanowny autor *Wicka i Wacka* nie grzeszy pomysłowością i oryginalnścią, za to tak: »szedł chłop po desce, powiedzieć wam jesce« umie recytować na wszystkie strony, nawet, gdy go postawią do góry nogami.

Państwo młodzi — to sobie wesoła, karykaturalna, porządnie tłusta farsa, na której to, »szanowna publiczność«, która płaci za to, aby się uśmiać, musi się śmiać głównie dla tego, że chce się śmiać, choć niema z czego... Zyzio ma szczęście do takich ludzi i lepiej mu jest na świecie, jak tym wszystkim, co zamiast szczęścia, posiadają tylko... talent. — W farsach Przybylskiego — główną rzeczą jest kręcenie się, rodzaj djabelskiego młynka na scenie. To samo w *Państwo młodzi*. Ten i ów powiada: »jakie to głupie — ale się śmiałem«. — Ja także...

Omega.

Nadesłane.

Odpowiedzialny za redakcję i wydawca: **Fr. Ks. Kowaliszyn.** Z drukarni W. A. Szyjkowskiego.